

WSZYSCY JESTEŚMY ROZREGULOWANI

Mamy naprawdę wszystko, czego nam do bycia szczęśliwymi potrzeba, czyli siebie samych. Nie potrzebujemy żadnego chrztu cudownego ani objawienia.

Z MARIĄ PESZEK I JANEM PESZKIEM ROZMAWIA MICHAŁ NOGAŚ

Do czego najtrudniej przyznać się dziecku?
JAN PESZEK: Do błędu. Pamiętam jako bardzo silne przeżycie moment, w którym zrozumiałem, że choć miałem świadomość braku idealnego sposobu na wychowanie i edukację dzieci, to jednak częstą nieobecnością sprawiałem ból najbliższemu. Uzniosła mi to Maria, dodając, że na ten sam chorobliwy wręcz brak ojca cierpiał mój syn. A przecież ja latami żyłem w doskonałym samopoczuciu, że owszem, często i długo nie było mnie w domu, ale za to przywoziłem rzeczy niedostępne, które dzieciom sprawiały wiele radości. To był właśnie ten błąd, do którego nie umiałem się przed nimi przyznać, przed sobą także, przejaw pychy.

To jest dziwne, Marysiu, ale jak wyście się urodzili, to też nie spowodowało we mnie poczucia ojcostwa. Byłem waszym ojcem, ale jakby żadnej zmiany. Ja sobie często wtedy zadawałem pytanie, czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości, przy całej mojej emocjonalności, uwielbieniu ludzi – bo oni są potwierdzeniem tej krótkiej chwili... Bo jedno wiem na pewno, że jestem na chwilę. To wyniosłem z domu, od dziadków. I to, że jestem na chwilę, zawsze mi przynosiło niezwykłą ulgę i usprawiedliwienie wszystkich niedomogów. Wiem, że was strasznie kocham, tak samo, jak w bardzo szczególnie sposób kocham, może podziwiam, nie wiem, inaczej oczywiście, Teresę. Ale jednocześnie często w życiu zadaję sobie pytanie: czy ja w ogóle jestem zdolny do miłości?

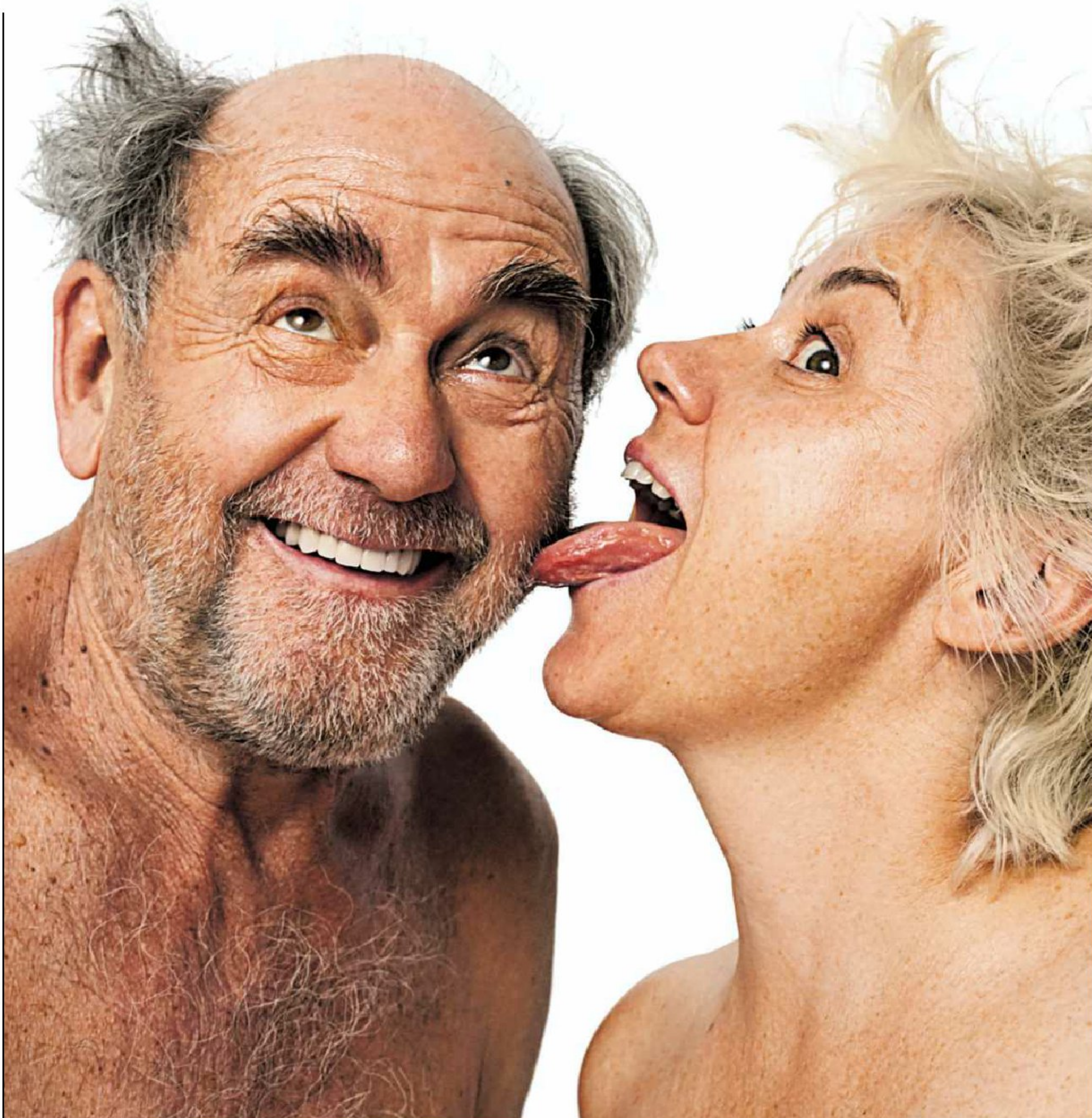
Najtrudniejsza do przyjęcia jest chyba prawda, że wszystko to okazało się nieodwracalne. Zaniedbań, których dopuściłem się przez lata, nie da się naprawić. Ale też nikt poza dzieckiem – chodzi przecież o więzy krwi, te najsilniejsze – nie byłby w stanie wydobyc z mnie niektórych opowieści, zmusić do przypomnienia sobie zachowań, z których nie jestem dumny – drastycznych, trudnych, bardzo intymnych, takich, które pewnie wolałbym wymazać z pamięci.

MARIA PESZEK: Nie chciałam, byśmy rozmawiali, wzajemnie sobie dopieprzając, raniąc się – to wbrew naturze naszej relacji, która jest czuła i pozytywna. Ustaliliśmy, że mogę Jana zapytać o wszystko, a o tym, że coś może okazać się ewentualnie zbyt trudne czy raniące, zdecydujemy wspólnie. A przecież to mogło się nie udać – zaraz po tym, jak ustaliliśmy, że będziemy rozmawiać i że być może zrodzi się z tego książka, Jan miał zawał. I pierwsza z tych rozmów odbyła się dwa dni po jego wyjściu ze szpitala.

Potrzeba rozmowy, wypowiedzenia tego, co we mnie siedziało przez lata, wzięła się też ze świadomości, że tata jest typem, przed którym mogłam się całkowicie otworzyć. To było ważne dla mnie jako córki, ale też szerzej – artystki, człowieka, kobiety. A ponieważ byłam wtedy w silnym kryzysie, uczepliłam się tego jak szansy na poprawę własnego stanu.

Co było bezpośrednią przyczyną tego kryzysu?

M.P.: Takie momenty przydarzają mi się w życiu cyklicznie. Zapaść nadchodzi zazwyczaj po ukończeniu dużego projektu artystycznego. Wydaje mi się wtedy, że to wszystko – robienie sztuki i spalenie się



w niej – nie ma w dzisiejszych czasach żadnego sensu. A przecież sztuka jest dominantą mojego życia. Nie mam dzieci. Mam fantastycznego partnera, z którym idziemy przez życie, ale czasami pojawia się poczucie wyrwy, kosmicznej dziury każące mi się zastanowić, czy aby na pewno warto poświęcić całą egzystencję sztuce.

M.P.: Ja nie mam dzieci. O to też chciałeś mnie zapytać?

J.P.: Nigdy nie pytałem o to głośno, ponieważ zawsze miałem poczucie, że to jest niezwykle intymna, a jednocześnie bardzo silna decyzja, którą bez względu na konsekwencje – bo trudno przewidzieć jej skutki – należy po prostu uszanować. Właściwie gdybym tak chciał procentowo ustalić, to na osiemdziesiąt procent podzielałbym twoją decyzję. Być może na poboczach tego pytania leży również współodpowiedzialność za ten wybór. To znaczy, jak dalece, absolutnie poza świadomością, rodzic wpływa na takie decyzje. Bo teraz myślę, że silny lęk o rodzica może stać się zaczątkiem postanowienia w dorosłym życiu. Żeby nie skazywać własnego dziecka na ten rodzaj cierpienia.

M.P.: Tak naprawdę dokładnie o to chodzi. Przecież u nas było w chuj dużo miłości. Ty i mama bardzo mnie kochaliście, a mimo to nie byliście w stanie sprawić, że bym się czuła bezpieczna. Dla mnie dzieciństwo to jest – tylko proszę, niech cię to nie rani – jednak przede wszystkim czas mroku. Strachu. I brzucha spiętego. Ten mrok był rozświetlany nieprawdopodobnymi, spektakularnymi, bajecznie pięknymi fajerwerkami. Ale w tym najwcześniejszym czasie było dużo cierpienia, z którym sobie nijak nie mogłam poradzić, no bo dziecko nie jest w stanie tego zrobić. Bo sobie jeszcze wymyśliło, że uratuje rodziców, że ich ochroni. I że wszystkiemu sprostą.

A to są rzeczy niemożliwe. To jest ponad siły. Więc w temacie dzieci mam spokój. Bo ja w pewnym sensie już je miałam. Was. I teraz muszę odpocząć. Edek miał od samego początku podobne podejście. Myśmy się tak po prostu znaleźli. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ta decyzja jest trudna i że bywa też smutna. I że zawsze stoi za nią jakiś powód. I dlatego wkurwiają mnie ludzie, zwłaszcza kobiety, od których w tym temacie doświadczyłam sporo agresji, bo potrafią być bezwzględne i okrutne w swoich ocenach. Nieposiadanie dziecka nie czyni mnie gorszym człowiekiem. Ale na pewno zostawia bolesny znak zapytania. I tęsknotę.

Gdy zaczynaliśmy z Janem nasze rozmowy, byłam po ukończeniu kolejnej płyty, a głowa buzowała mi od pytań: „Jaki to ma sens?”, „Może życie jest gdzieś indziej?”. Pomyślałam: „Pójdę do tego dziada Jana i go zapytam o wszystko”. Bo w jakimś sensie jest odpowiedzialny za to, że jestem, i za to, kim się stałam. Może mi powie, jak sobie z tym wszystkim radzić.

I jeszcze chciałam udowodnić, że rodzina to nie tylko mama, tata, córeczka, braciszek, niedzielny obiad, że można mieć też rodzinę popieprzoną i być totalnie harmonijną, szczęśliwą osobą. To było dla mnie takim wytrychem: odstawanie jako źródło siły kontra przyznanie do tak zwanej normy.

Na czym polega popieprzenie waszej rodziny?

M.P.: Na tym, że wszystko jest możliwe. W naszej rodzinie możesz zapytać swojego ojca, czy spał kiedyś z chłopakiem albo z prostytutką, a on nie powie: „Dziecko, czyś ty oszalała?”, tylko poważnie się do tego odniesie. Trzeba jedynie liczyć się z tym, że odpowiedź może być bolesna.

MICHAŁ NOGAŚ



J.P.: Pełna zgoda. Nasza rodzina z pewnością wy-
myka się wszelkim kanonom polskiej pruderii.

M.P.: Jeden z naprawdę fantastycznych obrazów
z dzieciństwa, jaki mam, wiesz, takich totalnie beztro-
skich, jest goły właśnie. Z Łodzi. Jest już bardzo póź-
no, a my z Błażem rozrabiamy i szalejemy w naszym
pokojku. Wy już w łóżku, a raczej w łózkach, bo prze-
cież wasza sypialnia była tak mała, że nie mieścił się po-
dwojny materac i mieliście łóżko piętrowe. I ty przycho-
dzisz do nas już któryś raz i mówisz: „Macie się natych-
miast uciszyć!”

J.P.: Tylko że jestem goły.

M.P.: Tak! Golusienki, ale chcesz być groźny. I za każ-
dym kolejnym razem strasznie się starasz być poważ-
ny, ale ci się nie udaje, bo my cię rozśmieszamy, ale sta-
rasz się trzymać. W końcu przychodzisz z pasem w rę-
ku, ale dalej goły, i mówisz: „Zamknąć jadalnicę!”, a my
w śmiech, bo to zestawienie nagości z pasem jakoś
w ogóle nie jest groźne. Zwłaszcza że widzimy, że ci się
wszystko od tego powstrzymywanego śmiechu trzęsie.
A najbardziej fajfus i jajka.

**Mówi pan o pruderii w czasach, w których coraz
więcej osób zdaje sobie sprawę, jak silny był przez
dekady – wciąż jest – wpływ Kościoła katolickie-
go na naszą codzienność, kwestie tożsamościowe.
Kiedy pan zdał sobie z tego sprawę?**

J.P.: Już w dzieciństwie byłem silnie rozdarty. Byłem
ministrantem, synem ultrakatolika i kobiety, któ-
ra – będąc katoliczką – chronicznie nie akceptowa-
ła wszystkich zachowań kleru. Dziwna antynomicz-
ność tego związku to były pierwsze sygnały. A roz-
stałem się z Bogiem i z Kościołem – świadomie, na
moich warunkach – jako student, czyli człowiek doj-
rzały, w połowie lat 60. Zrozumiałem, że polski ka-
tolicyzm, religia, wiara to były pęta, które tłumi-
ły mnie od wewnątrz, nie pozwalały mi żyć na włas-
nych warunkach.

Przysłuchiwanie się rozmowom dziadków, sposób,
w jaki afirmowali życie, wszystko to sprawiło, że bar-
dzo szybko przestała interesować mnie jakakolwiek
wieczność. Przestałem wierzyć w obietnicę czegoś po,
podobno lepszego. Nie, zapragnąłem, żeby dobre by-
ło to jedyne życie, jakie mam, i postanowiłem go nie
marnować – w żadnym z jego przejawów. Postawiłem
na tolerancję, akceptację odmienności i praw do niej,
czyli w rzeczywistości – na wolność. To stopniowo po-
zwoliło mi uświadomić sobie, że instytucją najbar-
dziej nietolerancyjną, homofobiczną, niszczącą wol-
ność człowieka jest – paradoksalnie, bo przecież w in-
nym celu został stworzony – Kościół.

**Doszedł pan do tych wniosków, kiedy Kościół dla
wielu był jedyną ostoją wolności, niezależności
i niepodległości, gdy jego głową został Polak.**

J.P.: Ależ ja nie byłem pozbawiony radości
i entuzjazmu, kiedy papieżem został Polak! Tylko
że w żadnej mierze nie było to oparte na jakichkol-
wiek aspektach religijnych. On był świetnym mów-
cą, showmanem.

Wybór Wojtyły budził we mnie entuzjazm, bo przez
chwilę pomyślałem, że może w końcu spełni się ma-
rzenie mojego niezującego już wówczas ojca, czy-
li upadnie komunizm. W czasie pontyfikatu Jana Paw-
ła II miałem okazję spotkać się z nim kilkakrotnie, wie-
działem, że on bardzo silnie akceptuje moje aktorstwo,
mówił mi miłe słowa podczas rozmów w cztery oczy.
Ale nie przeszkadza mi to w sposób jednoznaczny
i z ogromnym niepokojem myślę o niektórych aspek-
tach jego działań, które od lat sukcesywnie wychodzą
na jaw. Teraz rozumiem to „santo subito”, pośpiech,
gwałtowność, konieczność natychmiastowego uczy-
nienia go świętym. Żeby się nie zdążyło okazać, że mo-
że mieć na swoim wizerunku jakieś skazy...

M.P.: Ale to odejście Jana od wiary, wczesne, jesz-
cze przed moimi narodzinami, nie przeszkadzało
nam zupełnie wspólnie chodzić do kościoła i śpiewać
na głos wiele fenomenalnych pieśni. Mieszkaliśmy już
w Krakowie, to były lata...

J.P.: ...ty byłaś w szkole podstawowej.

M.P.: Czyli 80. Chodziliśmy głównie pośpiewać, ale
czasem się pomodlić. To bardzo ciekawe w kontek-
ście twoich doświadczeń, odejścia od Kościoła, bycia
w awangardzie i z nią – głowa, intelekt od dawna wie-
dział, jak się rzeczy mają, ale wciąż była w tobie po-
trzeba uczestnictwa we wspólnocie, na swój sposób
zresztą pięknej. Mieliśmy szczęście, bo kościół, do któ-
rego chadzaliśmy, był niesamowity, grał w nim cudow-
ny organista.

J.P.: Trafiliśmy na mądrych księży, kanoników late-
rańskich w Bożym Ciele. Ależ oni celebrowali wielko-
postne uroczystości, to były istne dzieła sztuki! Dawa-

ło nam to tak bardzo wszystkim potrzebne skupienie,
jakiś rodzaj resetu życia, rzeczywistości.

M.P.: Myślę, że większość ludzi tak właśnie zosta-
ła skonstruowana – chcemy sobie coś uporządko-
wać, bardzo wyraźnie coś ponazywać, ale nasze cia-
ła i instynkty mają własne potrzeby. Nie ma w tym
nic złego, to prawda o człowieku, którą często lekce-
ważymy. Wyzwalające jest być niekonsekwentnym,
mieć rysy na wizerunku. To też daje ludziom poczu-
cie wspólnoty, że wszyscy w tym jesteśmy popieprze-
ni, niedoskonalni, niekonsekwentni, robimy jedno,
mówimy drugie.

M.P.: Dopóki nie weźmie się całkowitej odpowiedzial-
ności za własne, kurwa, szczęście, to nie można być wol-
nym. Dlatego mój ateizm jest dla mnie tak ważny. Nie
ma Boga, na którego można liczyć i czekać, że cię uratuje.

J.P.: Albo usprawiedliwi.

M.P.: My ciągle czekamy, że nam jakiś Jezus albo
ksiądz, prezes czy rząd coś zalatwi i ciągle mamy żal.
I wszystko, co jest jeszcze piękne, te resztki piękna w Pol-
sce, są tak chwastami żalu zarośnięte, że ledwo dyszą.

Nie mam dzieci. Mam fantastycznego partnera, ale czasem pojawia się poczucie kosmicznej dziury

J.P.: Mam ten sam pogląd.

M.P.: Też cię wkurwiają ludzie, którzy z żalu robią
sens życia? Bo u nas cierpienie, najlepiej zbiorowe, jest
tożsamością narodową. Polska to wspólnota oparta na
ranach, którym nie dajemy się zagoić. Ze strachu, że jak
się zagoją, to stracimy siebie? Czym byśmy byli bez te-
go cierpienia, skoro tylko w nim się jednoczymy? I tylko
w nim jesteśmy naprawdę dobrzy.

J.P.: Polak, cierpiąc, ma poczucie, że posiadał strasz-
liwą władzę i ta władza go opanowuje. I niszczy
wszystko. To się bierze oczywiście z naszej strasznej
historii katolicyzmu, który jest najciemniejszą religią
na świecie. A w polskim wydaniu to jest w ogóle pie-
kło. I jeżeli szatan istnieje, to jest nim instytucja pol-
skiego Kościoła.

Człowiekowi często zbyt łatwo przychodzi akcepta-
cja ogólnych zasad współżycia, nawet jeśli całkowicie
się z nimi nie zgadza.

**Mówi pan to z pozycji mędrca, aktora uznanego za
narodowe dobro. Gdy jednak kobieta o blisko trzy
dekady młodsza, pańska córka, śpiewa ze sceny, że
„wisi jej krzyż” i że „męczy ją Polska”, jest równana
z błotem, obrażana, wyzywana od najgorszych.**

J.P.: Mniej mnie boli atak na moje dziecko, ponie-
waż ja to dziecko zbyt cenię – i jako człowieka, i ja-
ko artystkę. Natomiast rozwściecza mnie głupo-
ta i infantylizm tych ataków. Znam ich mechanizm,
tu w rzeczywistości chodzi o sprawowanie władzy.
Ci, którzy Marię atakują, są po szalenie dla nich wy-
godnej stronie mroku. Do tych ludzi nie dociera ży-
cie, ale jakieś prymitywne banialuki, które wciska-
ją innym wyłącznie po to, by utrzymać w ryzach
bezsztaltną masę, dzięki niej się stale wzbogacać
i sprawować władzę.

Z jakim my prymitywizmem mamy do czynienia!
To on mnie najbardziej w tej reakcji wobec artystki
Peszko rozsierdziło.

Peszko, przypomnijmy.

M.P.: Małopolski marszałek, Kozłowski, powie-
dział: „Po moim trupie odbędzie się koncert artystki
Peszko w Teatrze im. Słowackiego”.

**Pamiętam, że gdy ukazał się singiel Marii „Sorry
Polsko” – pracowałem wtedy jeszcze w radiowej
Trójce – jeden ze słuchaczy napisał: „Jak się tej Pe-
szek nasz kraj nie podoba, to niech wypierdala”.**

M.P.: Chyba wiemy, na czym polegają problemy
współczesnej Polski, wszystko zostało już trafnie na-
zwane. A co zrobić, jakich środków użyć, by to się
wreszcie zmieniło? Bardzo bym chciała, żeby – też
czytając tę książkę – Polacy wreszcie zrozumieli,
że w rozregulowaniu nie ma niczego złego. Każdy
z nas odstaje od normy, każdy z nas ma jakieś defek-
ty, to wydaje się musi prowadzić do agresji, żalu, dal-
szych podziałów.

Wiesz, co by się stało, gdybyśmy sobie wszyscy
uświadomili, że nie będziemy nigdy doskonałi, my,
Polacy? Jak bardzo obniżyłyby się nam poziom stra-
chu przed tym, co powie lub zrobi ten drugi obok!
U każdego, z każdej frakcji politycznej, zapewniam.

Co nam szkodzi pokazać tym po drugiej i jeszcze
kolejnej stronie tego muru polskiego, że w dużej mie-
rze jesteśmy tacy jak oni? Wiesz, ilu nakazów i zaka-
zów religijnych – wymyślonych nie wiadomo kiedy i po
co – przestaliśmy się obawiać? Że można być tylko
w jednym związku przez całe życie, że kochać można
tylko jedną pleć, że seks tylko małżeński i tylko hetero.

Ta zmiana jest możliwa, ale pokojowa, nie na ostro,
nie na noże. Widziałam, jak wiele dobrego zrobił se-
rial „Królowa”, w którym wystąpiłam w roli córki
głównego bohatera. Nagle tak wiele osób, które wcze-
niej nie miały o tym pojęcia, odpychały to od siebie,
zaakceptowało różnorodność, nieheteronormatyw-
ność, całe to rozregulowanie – nie tylko postaci gra-
nej przez Andrzeja Seweryna. Czasem myślę, że kil-
kanaście lat na scenie, śpiewanie o tym, wykrzykiwa-
nie ważnych hasel nie dało tyle, ile serial, którego sta-
łam się częścią.

J.P.: Ludzie chcą być akceptowani.

M.P.: Czyli co twoim zdaniem należy robić, by to
wszystko drgnęło w posadach?

J.P.: Nie ustawać, ciągle to powtarzam. Nie wolno
zmieniać kierunku, który się obrało. Ja się cały czas
trzymam mojego bohatera z Bernharda, który bez-
ustannie przypomina: „Nie wolno nam się poddawać,
nie poddawać się ani na chwilę. Jeśli choć na chwilę
się poddamy, wszystko przepadnie”.

M.P.: Jan jest ode mnie o 30 lat starszy, a nie prze-
staje mnie zadziwiać jego zawziętość, ona jest praw-
dziwie ożywcza. Nasza generacja takiej cechy już nie
ma. Inaczej kombinujemy, inaczej staramy się prze-
trwać. Gdy patrzę dziś na młodych ludzi, o trzy deka-
dy ode mnie młodszych, to bardzo szybko dociera do
mnie, że oni też są już zupełnie inni. Mają gdzieś to,
o czym mówi Jan. Ich zażartość jest zupełnie gdzie in-
dzie. Ale jest. Jeśli świat ze swoimi normami jest dla
nich zbyt brutalny, nieodpowiedni – stwarzają własny.
Nawet jeśli jeszcze nie wiedzą, kim są – dziewczyną
czy chłopakiem – nie przeraża ich to. Szukają. Oni są
nieustraszeni. Wzrusza mnie to i zachwyca.

Mamy naprawdę wszystko, czego nam do bycia
szczęśliwymi potrzeba, czyli siebie samych. Wiem, że
to brzmi utopijnie, jakoś banalnie, ale może by się każ-
dy choć przez chwilę zastanowił.

**Czyli że nie jest nam potrzebny żaden deus ex
machina, żeby się przetrzeźnić, w której żyjemy,
mogła naprawić?**

J.P.: Nie, nie musi przyjść wyzwoliciel.

M.P.: Nie potrzebujemy żadnego chrztu cudow-
nego ani objawienia. Ja bym chciała, żeby Polacy na-
uczyli się ze sobą rozmawiać tak, jak to ma miejsce
wśród Peszków.

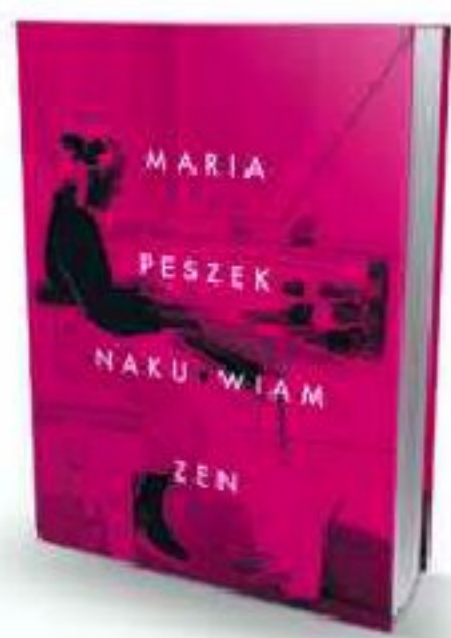
Spalenie?

J.P.: Spalenie. Absolutnie. Kremacja.

M.P.: A słyszałaś o pięknej idei, o której właśnie roz-
mawiam z Edkiem, bo my mamy dość specyficzną sytu-
ację... My naprawdę nie mamy za bardzo gdzie się ze so-
bą podziac albo myśleć, że ktoś coś z nami zrobi. I jest
taka idea, która mnie zachwycała. Przed śmiercią decy-
dujesz, że jak umrzesz, to twoje ciało zostaje przygo-
wane w specyficzny sposób. Po kremacji mieszają w spe-
cjalnej kapsule twoje proch czy co tam z ciebie zostanie
i z tych resztek przygotowują kosmopost. Wybier-
asz drzewo, które jest ci bliskie, gatunek drzewa. I sa-
dzonka tego drzewa wyrasta z ciebie, z tego kompostu.
Są całe cmentarze, a raczej parki umarłych. Wiem, że na
pewno we Włoszech i w ogóle w Europie Zachodniej. I to
drzewo korzeniami zużywa wszystko, co z ciebie zosta-
ło, karmisz sobą drzewo. Nie ma grobów, na drzewach
są tabliczki. Na przykład: wierzba płacząca – Maria Pe-
szek. Tyle. Strasznie mi się podoba ta idea. Jest konkret-
na i piękna. Tak bym chciała.

J.P.: Takie drzewo można objąć... ●

Wszystkie cytaty
pochodzą z książ-
ki Marii Peszek
„Naku*wiam zen”,
wyd. Marginesy,
Warszawa 2022



FOT.DAWID GRZELAK
/WYDAWNICTWO MAR-
GINESY

Maria Peszek

ur. w 1973 r. ak-
torka filmowa
i teatralna, pio-
senkarka, autorka
tekstów, córka
Teresy i Jana,
siostra Błażeja

Jan Peszek

ur. w 1944 r.,
aktor filmowy,
teatralny i tele-
wizyjny, reżyser,
pedagog, ojciec
Marii i Błażeja,
mąż Teresy